

Gody



WŁADYSŁAW ORKAN

PLANETY

Gody

I

Ludzie po sumie wysypali się z kościoła. I wbrew swemu zwyczajowi, nie zatrzymują się koło sklepów, nie stają gromadkami na rynku, ale każdy leci w swoją stronę. We wszystkich kierunkach od kościoła idą, rozsypują się po kamieńcu, mijają jedni drugich, spychają się z ław, a co które, to szybciej zdąża ku swojej chałupie. Pędzą ich różne powody, niemniej wszystkie nader ważne. Raz, że to „godnie święto”, Narodzenie Pańskie raz do roku musi się różnić od zwykłej niedzieli, powtóre, większa część ludzi, którzy zdalsza przyszli, nie miała nic na zębie od wczorajszej wilji... Przyszli na jutrznię, a tu rano jedna msza po drugiej — więc żal im było odchodzić i zostali na sumę. Zato w chałupie czeka ich suty obiad — toż lecą na zabicie.

Przez pusty, biały dział, przecięty dwoma potokami, a podnoszący się stromo ku wysokim Groniom, sypią się ludzie ścieżyną wąską, długim, czarnym sznurem... Idą jedni za drugimi, dyszą ciężko, a nie ustają.

Tam, w górze, przy sinych lasach ślęczą ich chałupy poprzymocowane, jak szare gniazda jaskółcze pod strzechą. Do nich stermią się pod górę wygłodniali od rana ludziska; nawet starzy ciągną za sobą zmordowane nogi, robią piersiami, jak miechem, a nie ustają... Gdyby tak zajrzeć skrycie w myśli każdego, toby można znaleźć wszędzie jednako nieokreślone pojęcie pragnień, mieszczące w sobie: ciepłą izbę, miskę pęczaków ze skwarkami i coś jeszcze... może rosół z ziemniakami, albo sztukę mięsa. To ostatnie niepewnie, bo na takie zbytki nie zawsze i myśli mogą sobie pozwolić. To jednak pewna, że i kazanie się zatarło, a ksiądz w ornacie zbladł „przy ontarzu” i mniej waży w ich obecnych myślach, niż pełna miska pęczaków, miłośnie skwarkami chwytająca za serce... „Człek żyje, aby jadł — i Panu Bogu się podobał” — dość często spotykane przysłowie, a „przysłowia są mądrością ludów”.

— O, ka hań to już Jędrak!... — mówili ludzie, idący na samym ostatku, wskazując przytem przed siebie, gdzie rysowała się na działku smukła figura opiętego w chazukę parobczaka. — Leci, jak na złamanie karku...

— Chciałby jak najprędzej zasiać na wiesnę, temu leci — ozwał się z wiarą stary Szczepan.

— A wybyście to nie chcieli? — żartowała idąca za nim kumoszka.

— Dyćby każdy rad. Ale cóż? Młodszemu zawdy różniej. Trudno wszyscy mają być pierwsi.

Rozsądną odpowiedzią zamknął gębę śpasobliwej kumoszce.

Odwróciła się do dziewczyny, idącej w tyle.

— A ty Wiktuś, czemu ostajesz na zadku?

— Nika mi nie śpieszno — odpowiedziała hardo Wikta i gniewne spojrzenie rzuciła na działek, gdzie się czerniła chazuka Jędrka.

— Niech leci! — pomyślała. — Myśli, że go będę gonić... jutro!

— Wiktuś — ciągnęła kobieta, nie zrażona suchą odpowiedzią. — Rówieśnice cię podlatują i co będzie?... Patrz, ka hań to już Jadzia z Anielką! Pod samemi chałupami!... A nie wiesz to, że dziopy powinny dziś na wyścigi lecieć, coby w mięsopusty była o nie dobijacka...

— Nika mi się nie śpieszy... — odrzekła sucho.

— Taak? A chciałaś na jadvencie wesele zrobić. Nie śpieszyło ci się? co?

Głośny śmiech idących przodem zawtórował słowom złośliwej kumoszki. Wikta zaciśnęła zęby i stanęła, odwracając się za siebie, choć nie było kogo wyzierać, bo już wszyscy przeszli. Śmiechy i docinki oddalających się wpadały zgrzytem w jej uszy. Złość ścisnęła jej serce i wypierała do oczu łzy, które staczały się po zaczerwienionem licu i spadały duże, jak paciorki, na gwiazdzisty, śnieżny puch.

Ludzie odeszli ją i zostawili samą na białym dziale. Odwróciła za nimi głowę. Już dochodzili Gronia i tracili się po jednym, po dwóch... Wreszcie ostatniego chałupa skryła za działkiem.

— Trza iść — szepnęła. — Nic nie wystoję. Ale przecie nie będą dogryzać...

— O, ja głupia, sto razy głupia! — mówiła sobie idący. — Było mi nie wierzyć obertalowi, jażby nas był ksiądz od ontarza odegnał... A tak — pośmiewisko i nic więcej. Każdy na ciebie patrzy, jakżebyś mu był co winien...

— Co oni mają do mnie? — rozogniała się coraz więcej. — Niech siebie patrzą, nie kogo!... Co ja komu wadzę?... Co ino wtóre idzie, to cię musi ugryźć. Ani w kościele nie stanij, ani na drodze nie podchodź, bo cię zaraz dożrą i uszczypią... A to bez tego przekłętogo Jędrka! Teraz to ucieka, bo nie śmie spojrzeć w oczy... Kole go... A niech go kole! Ja se ta nic z tego nie robię...

Nie pomogło jednak „oscymanie”, ani żadne wewnętrzne perswazje, bo łzy gwałtem cisnęły się do ócz. Tak ich było pełno, że się ustanowić nie mogły... Przekonaną była, że go nienawidzi. I w tej nienawiści musiała ciągle o nim myśleć... Co za los!

Doszła powoli do chałupy. Nie czekali na nią z obiadem, bo już zaczęli z drugiej miski, kiedy weszła do izdebki. Matka zaraz poczęła na nią swarzyć, czemu nie przyszła odrazu po sumie...

— Dyc po sumie idę...

— Aha, po sumie... Kto wie, jakiej!

— Dyc-em z tatusiem wyszła z kościoła...

— Tatus już w chałupie od dawna... A tyś którądy szła, że cię nie widać?

— Prosta drogą.

— No, no... ino zawdy taką prostą drogą chodź, to wychodzisz!...

— Co mam wychodzić?

— Nie wiesz, co? — zerwała się w gniewie matka. — Tyś zawdy szła prościusienko, ino nie tam, kaj ludzie chodzą!... Potrzebno ci było z Jędrkiem ostawać u kościoła? Cóżes wygrała? To, że cię zabałamuć, niby to począł się żenić i zwłókl do jadventu. Zapowiedzi wyszły, ludzie czekają... a tu nic!

— Przecie ja temu nie winna.

— Ino kto?!

— E, dałabyś pokój raz tym wykładaniom — ozwał się ojciec, oblizując łyżkę. — Lepiej pójdzcie jeść, to se przy jedle powiecie, co macie pedzić. Że się Jędrak nie dożenił, to się dożeni... Na wesele zawdy czas.

— Zaś ta nie zawdy!... — zaprzeczyła żona. — Zwleka się, zwleka, a potem się ze ślubem spóźnią... i co bedzie? Dość już śmiechu ludzkiego i obrazy Boskiej.

— Toś mogła Wikty na boisko nie wyganiać! — rozsierzdził się chłop. — Miała ka w izbie legać... a tyś matka od tego, rozumiesz?!

Żona, zamiast wpaść w większą pasję, przeżegnała się dwa razy.

— W Imię Ojca i Syna... Jantus! Co se ty przybierasz do głowy? To ja może Jędrkowi raiła, kany Wikta śpi? co? może ja?!

— Eh — machnął ręką — tu nie o to idzie. Młodemu raić nie trza, sam trafi. Ino trza było strzedz... rozumiesz? Bo dziopa, jak zwyczajnie dziopa, niedowarzona...

— Ale... wyście wszystkie niedowarzone! — dodał po chwili i jął się jadał.

Wikta tymczasem zdjęła lachy i siadła z matką obok miski. Jedli jakiś czas w milczeniu, każde zajęte swojemi myślami, a może wszyscy jednemi, bo sięgali na jedną miskę... O Jędrku już nie było mowy.

Po obiedzie, gdy ojciec poodbywał się z bydłem, a Wikta posprzątała miski, znaleźli się znów razem w ciepłej izdebce. W piekarni, izbie dymnej, skąd ciepło, zaraz po

wypaleniu na nalepie, ucieka, siedziała sama „służąca z dzieckiem”. To dziecko było kamieniem niezgody między Jantkiem a żoną. Przy każdym jedzeniu musiała mu je zbaczyć, a on, wściekły, nie dojadł, ale łyżką prał o ziem i odchodził z pogroźką, że się to raz musi skończyć. O jakim „skończeniu” myślał — trudno było dociec...

Ciągle swarzenie na ojca ustalo, a poczęło się umęczenie córki, kiedy się Jędrak nie dożenił... Odtąd stale, przed każdym jedzeniem, przypominała jej matko dobitnie, że „raz musi dokończyć (niech się co chce dzieje) i złapać Jędrka, zanim mięsopust nadejdzie” — tu szedł ostatni, najsilniejszy argument, że się „łatwo mogą ze ślubem spóźnić”...

Ojciec, pomnąc swoich udręczeń, brał córkę w obronę, choć sam w duchu przyznawał rację żonie... Zresztą chciał mieć zawdy swoje zdanie, by żonie ani na chwilę bez myśli nie przeszło, że stoi pod jej władzą... Trzymał się stale opozycji, nie domyślając się, że to broń słabszych...

Jednak przed rozumem żony miał wielki respekt. I nieraz se już pedział, że jego „baba, to przeznaczenie”...

— Co uradzi, to się musi stać, choćby się człek na głowie postawił...

I jak powiadał, ożenił się z musu, bo już „od maleńkości bał się przeznaczenia”...

— Ale cóż? — mawiał. — Jak cię ma trafić, to cię trafi... Ono za człkiem łązi, jak cień... I choćbyś do mysie dziury wlał, to cię najdzie...

Wiarą w „przeznaczenie” słodził swój żywot i pchał tę biedę nieszczęsną, jak mógł.

„Godnie Święta” nadeszły... I Jantek, wygrzewając plecy koło pieca, medytował, czemu te święta ino raz do roku...

— Musiał nie bardzo dbać o ludzi ten, wto je ustanawiał — myślał se cichutko, ale się bał głośno odezwać, bo mu „wóla Boska” zamykała gębę. Na wóle Boską zwałował wszystko złe na świecie... I z tem mu również było dobrze.

Grzejąc się przy piecu i medytując, pozierał ku żonie i córce, które cosi uradzały w kącie... Ciekaw był bardzo, co one tam szeptają, ale na złość, słówkiem nie pisnął...

— Radzicie, to radźcie! A ja i tak muszę mieć swoje słowo na ostatku. Ono się ta bezemnie nie obejdzie... — myślał i czekał końca, nie bez racji, bo żona, nakładłszy w uszy Wikcie, co się jeno zmieściło, odezwała się głośno:

— A ty, Jantek, pamiętaj se dobrze, żebyś mi Jędrkowi hańby nie zadawał, jak tu jutro przyjdzie.

— No, no, ino ty trzymaj ozór na uwięzi, a o mnie się nie tórbuj! — rzucił się gniewnie Jantek. — Ona mi będzie z góry dyskunować, co ja mam robić...

Splunął energicznie za piec i począł nakładać fajkę. Ale nie mógł wytrzymać długo. Drażniły go ciche szepty poza plecami.

— A skądże ty jutro Jędrka weźmiesz?... Cały jadwent się nie pokazał...

— To się pokaże na godnie święta — rzekła stanowczo żona.

Jantek pokiwał głową.

— Hm... na jaki sposób?...

— Na taki, że ludzie do ludzi chodzą... rozumiesz?

Udawał, że rozumie, coby go nie posądziła o ciemną pałkę...

Matka z córką, naszeptawszy się do woli, wstały ze skrzyni, gdzie siedziały obok siebie. Musiały coś niepośledniego uradzić, bo matusia przestała krzywo patrzeć na Wikte, której już lica obeschły z łez, a oczy zabłyszczały wesołością...

Jantek, rusz-że się od pieca! Pójdź, ugryziesz co... — mówiła żona, wyjmując kołacz ze szafy i kładąc na stół.

Zbliżyli się we troje, połamali i jedli... Harmonja zapanowała i ciepło w maleńkiem kółku. Niktby nie powiedział, że ci ludzie sprzecząją się niekiedy...

Czas włókl się powoli, jak zwyczajnie we święto. Wiedzieli, że nikt, nawet z bliższa, do nich nie zajrzy. Dwa święta do roku: Godnie i Wielkanoc, w których każdy siedzi w chałupie i je, co może i zdoła, nie zazierając do nikogo. Gdyby w tym czasie otworzyć wszystkie chałupy, jeden przedstawiłby się obraz: rodziny, skupione w kółka, zajęte sobą tylko, zjadające dar boski, na jaki które stać...

Długie popołudnie świąteczne przewlokło się leniwie. Wieczór nadciągał powoli. Mrok czarny osiadł na ścianach, kładł się na sprzęty w izbie szarą powłoką i wił się u powały ciemnią...

Jantek wyciągnął kantyczki ze stolika, rozłożył je na stole i począł szukać wesołych kolend. Matka z córką zbliżyły się ku niemu. Trzy głowy pochyliły się nad kantyczkami, trzy odmienne głosy niedostrojone, zaśpiewały na skoczną nutę:

W Bethleem przy drodze
Jest zła szopa srodze...

I wesołość wpadła z kolędą do małej izdebki. Zdawało się, że sprzęty puszcza się w taniec. Szafa dudniła, jak dęty instrument, ile razy wybił się niski bas Jantka, ponad cienkie, piskliwe głosy kobiet. Wikcia darła się głośno, jak przy bydle, z radosną ochotą powtarzając każdą zwrotkę, zwłaszcza tę „o pastuszkach”:

Wejdą w szopę mali:
Anieli strugali
Złotą wierzbę i lipkę
Dzieciatku na kolébkę...

Serce jej podnosiło się radością wielką. W myśli już huśtała „złotą, wierzbową kolebkę” i śpiewała do snu „maleńkiemu”.

Mrok ich owinął całkiem, noc zapadła, a zmęczone głosy nie ustawały...

Można przysiąc, że w każdej chałupie taka kupka w mroku przeszła z kolędami myślą do bethleemskiej szopy i cieszy się, raduje, jak „anieli strugają” — albo też...

Jeden kąpiel grzeje,
A drugi się śmieje:
Trzeci pieluszki suszy,
Každy rad służyć z duszy!...

Raz do roku kółka rodzinne jakieś swojskie, miłe, zgodne, jedną myślą parte do „szopy”, gdzieby każdy „z duszy rad służyć Maleńkiemu”...

Ale to ino raz do roku, na godnie święta...

II

Nazajutrz rano, w dzień św. Szczepana, szła Wikta od Jantkowej chałupy ścieżyną nad potok, gdzie schodziły się drogi z za działku i od wysokich Groni. Widziała przed sobą sznur ludzi, ginących za działem — za sobą nikogo.

Przyspieszyła kroku, by się na sumę nie spóźnić. Wykrochmalone spódnice suściły po śniegu, nie miała nawet czasu zagiąć do góry, by się nie obstrzępiły... Co ją tam spódnice, co ją cały świat obchodzi!.. Ona tylko wie o tem, że musi Jędrka ściągnąć...

Dlatego przezierała się dziś pięć razy w zwierciadle, zanim wyszła z chałupy, próbowała siły swoich ślepek, a w kościele spróbuje na nim... „Stanie se przy bocznym ontarzu, naprzeciw chóru, ka on stawa, i tak go będzie świdrować oczami, że nie ustoi, ino polecą za nią, ka będzie chcieć... Abo nie! I dawniej przecie świdrowała, a zwłóczył i zwłóczył... Zrobi tak. Stanie se naprzeciw i spojrz tak smutno, jak Matka Boska Bolesna z ontarza... Wtedy mu się sumienie ruszy i... cieszcie się janieli! Bo już po wszystkich lamentacjach”...

— Matusia dobrze radzili — myślała se dalej. — Oni przecie nie tacy źli, jak się wydają... Chciałam ci go złością przyciągnąć i nijak nie szło... Nie szło, nie, bom se chciała z honorem chodzić. Matusia dobrze pedzieli, że się honorowi wnetki ucho urwie i po wszyckiemu! O, nie po wszyckiemu! Dopiero się dziś zacznie!... — zawołała z siłą — spróbuujemy się, kto mocniejszy: ty, czy moje oczki!... Spróbuujemy... O, Najświętsza Panienko, dejże też...

I powoli myśli jej przeszły w cichutką prośbę... o Jędrka.

Zleciała chyżo na dział i ku kościołu. Wpadła pod dzwonnice, pragnąc się dostać gwałtem przed boczny ontarz...

W kościele ciżba była wielka. Mały, drewniany kościółek trząsł się w posadach od napływu parutysięcznego tłumu, który kołysał się, jak fala, parł na ściany — i dusił w świątyni Pańskiej... Kościółek huczał silnym basem organów i jeszcze silniejszym chórem

parutysiaca gardzieli, a w przerwie między zwrotkami kolęd wylatywały z tłumu bolesne wrzaski, urywane przekleństwa i wyzwiska dosadne...

— Dyc się nie pchaj! Czyś w chlewie? — krzyczy jakaś kobieta z pod chóru.

— A ty mnie nie śturkaj!

— Ludzie! Bójcie się Boga, bo mnie udusicie!...

— Jezus, Marya!

— Mamo, mamo! — przedarł się żalony głos dziecka.

— O ratunecku! moja ręka!

— Nie napierajcież tam ze zadku, bo wlecimy na ontarz! — woła silny głos od balausków, które trzeszczą pod naciskiem ludzkiej fali!

— Cicho! — zapanował nad wszystkimi stentorowy głos kościelnego i zanucił:

Pasterze bieżeli,
Gdy głos usłyszeli...

Organista uciął ognistą polkę... Krzyki i wyzwiska zginęły w potężnym chórze...

Kiedy w świątyni Pańskiej taki zaduch kotłowanie, ciżba — w świątyni przyrody spokój panuje ogromny i wielka cisza. Jasna, puszystą piersią oddycha ziemia ku słońcu, które ponad szczytami toczy białe koło, świetlane... Na wschodzie i na północy zieloność jasna siadła na widnokręgu niebieskim, rozplywając się ku sklepieniu w ciemny, zamglony błękit... Od zachodu chmurki pierzaste wybiegły... Zda się, że białe aniołki o złotawych kędziorkach pochwyliły się za rączki i lecą szeregiem ku zorzy za tęczą poranną... I zda się, że gwiazdki strzepały na ziemię z rozpostartych skrzydełek, bo jedne, spadły już, błyszczą po śniegu djamentowym ogniem, a drugie lecą powietrzem ze mgłą, leciuchno, mieniając się od słońca tysiącami odbłasków...

Tam od kościoła przedziera się powietrzem zgrzytliwy głos organu i zmieszane głosy ostrem wylatują echem — a tu w świątyni przyrody spokój i cisza bezmierna...

*

Ledwo w Jantkowej chałupie podnieśli się ludzie od obiadu, już stary Szczepan „z Boską pochwałą” wszedł do izdebki.

Na szczęście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie, coby się darzyło w kumorzach, w oborze i na polu... dej Boże! — wygłosił jednym tchem, ciskając zboże na dyle, jak siewca na uwrocie...

— Dej Boże! — odpowiedzieli wesoło. Szczepan począł się witać po kolei i gadać głośno. Gwary u niego zawdy dostanie. Postawili przed nim miskę i musiał jeść, rad nie rad, bo go raczyli każdy na swoją rękę.

Jeszcze nie dojadł dobrze, a już cała izba napelniła się ludźmi. Naszli się, jak zwyczajnie sąsiedzi... Był i Tomek od Kozery i Sobek od Kopańdy i Błazek od Kusia — nikogo z bliższych nie brakowało.

Wikcia pozierała ku drzwiom, czy jeszcze ktoś nie przyjdzie... Ale tego ktosia jakosi nie widać...

— Musi przyjść — szeptała sobie. Lecił za mną od kościoła, jak opętany. Wczoraj się ludzie ze mnie śmiali, a dziś zaś z niego, bo ja była na przodku... aha! Tak się ludzi za nos wodzi, jak sami nie idą...

Urwała myśli, pełne wewnętrznej otuchy, bo już stary Szczepan, którego co dopiero powiązali, wytrząsł z rękawa fłaszki wina, postawił na stole i począł zapraszać po kolei...

— Dyc jutro dopiero Jana-pijaka, a wy dziś chcecie pić? — oganiał się Jantek.

— E, pódźcież, nie onaczcie się — ciągnął go Szczepan. — My se ta poradzimy. Przekręcimy świętego Jana na Szczepana i będzie. Oni się ta o to nie pokłócą.

Zebrani huknęli śmiechem. Wnet „kolejka” przeszła i drugi raz nawróciła kołem.

— Jantoni! — woła Szczepan — ruszcie się no od pieca!

— Pijcie, pijcie, mnie plecyska bołą. Tak mnie w kościele wywałkowali...

— Ja przecie starszy, a nic mi, chwała Bogu — ozwał się Tomek.

— Boście musieli chyba na polu stać...

— Coby! Na środku kościoła. Jak mnie wzięli, padam wam, to mnie zanieśli przed ontarz, a podłogim kerpcami nie dotknął.

— Mnie to uściskali niemało! — podjął Sobek. — Zdawało mi się, że już nie dychnę... Jażem zaklął na Miłosierdzie Pańskie, dopiero mię trochę popuścili. Przecie to dawniej takie ściżby nie robili.

— Bo było mniej luda — rzekł z przeświadczeniem Szczepan. — Wy nie pamiętacie, boście młodzi... Drzewiej było tak, że mógł po kościele tańczyć ślebodnie, a nika nie utknął.

— Dziś się nie obertniesz — rzucił Błażek.

— Kany? Jak cię ściskają ze wszystkich stron... Inaczej to było drzewiej, inaczej... Myśleli my, że ten kościół potrwa, Bóg wie, dokąd, a tu ludzi narosło, co niemiara, i stawiaj nowy, abo stój jak pies na cmentarzu.

— Dyc ono tak — zauważył Tomek. — Ludzie rosna, a nie ubywają...

— Drzewiej to nie tak było, nie — ciągnął stary gazda. — Jak przyszło na święty Szczepan, tobyś pięć korcy owsa w kościele naśmiała...

— Hej, nie gadajcie! — zdziwiło się paru.

— A jakże! Ludzie święcili po pół ćwierci, bo tego zwyczaj. Trza było bardzo biednego, coby w rękawie przyniósł... Księdza to wam tak obsypali, że w samych włosach nosił z miarkę owsa!... Toż to śmiałał palcami, jak mógł, ale on ta rad był temu, bo jak ludzie wyszli z kościoła, to on na służbę krzyknął i nagarnowali mu zboża po kościele, że bez cały rok miał czem gadzinę żywić...

— No wicie, wicie! — dziwowali się gazdowie. — A dziśby cie ksiądz z kościoła wypędził, jakbyś przypadkiem prasnął w niego owsem... Dyc niejak!...

— Nie te czasy, nie te... — pokiwał głową stary Szczepan — Hej! nie te...

I zadumali się starzy — dziwowali młodzi...

A Wikcia ku drzwiom pozieriała ukradkiem, rychło się otworzą... Otworzyły się, ale nie ten wszedł, którego miała na mysli.

— Haw mróz na polu! — ozwał się przybyły i tupnął nogą, szcępując z kerpców zmarzły śnieg.

— Nic to, jak sam mróz — oświadczył Błażek.

— Gorszy wiatr — przyświadczył Szczepan — on ta i słusnie, wicie, wiatr mrozowi gada: „Jakeś ty sam, to chłop pada: Nic nie dbam!... Jaż ja z tobom — to chłop rusza sobom!...”

— Wiatr huncfot! — dorzucił Tomek — ani za grajcar nie ma łagodności...

— Ba, jakżebyście chcieli! — roześmiało się paru.

Pogwarka płynęła żywo, bez natężenia myśli, które im latały, gdzie same żywnie chciały, z przedmiotu na przedmiot, zwinnie, jak pliszki po kamieńcu...

Matka wciąż pozieriała na Wikcie, ta zaś na drzwi.

— Nie urada się doczekać!... — powtarzała sobie coraz gniewniej. — Jakby nie przy-szedł... dałaby ja mu drugi raz! — No!...

Tą stanowczą zapowiedzią uspokoiła się na chwilę.

— Przyjdzie, coby nie — ozymiała se potem. — Jagem ino raz spojrzła na niego, tom już wiedziała, że przyjdzie...

W te razy zadudniło w sieni. Drzwi się otwarły i przez próg chybnął do izby tęgi parobczak.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków! — Witajże Jędrus! — ozwali się chórem zgromadzeni. Wikcia szarpnęła matkę z radości. Jantek spojrział na żonę.

— Ma rozum — pomyślał już tysięczny raz w życiu i stanęło mu w myśli „przeznaczenie”.

— Markotno ci na mnie? — szepnął Jędrak, wyciągając dłoń do Wikty...

Spojrzła tylko na niego... A umiała dobrze patrzeć!

Jędrak poszukał w rękawie i wyciągnął sporą butelczynę.

— Namowiny! — huknęło od stołu.

— Już drugie! — objaśniał Szczepan — i to na sam dzień mego patruna. To się znacz, że w pierwszą niedzielę mięsopustu wesele. Teraz przecie jadwent nie zaskoczy!...

Ale nie zwlekaj — zwrócił się do Jędrka — żeby cię post nie zastał, boby już było po niewczasie...

Jędrak się roześmiał. Butelczynę postawił na stole.

— Pamiętajże se Jędrus — trząśł go za ramię podpity Błażek — żebyś mi się zawdy ku przedkowi garnął!

— Nie zawdy ludzie dobrze radzą — bronił się Jędrak.

— Co tam! — ozwał się Szczepan — Ludziom nie wierz, ale i sobie zanadto nie ufaj!...

— Na zdrowie! — krzyknął Jędrak, przechylając szklanę — Wiktuś!

Podeszła i znów spojrzała na niego. Ciarki go przeszły.

— Po kiegom djabłów uciekał! — myśli se nalewając wino.

— Jak cię ma trafić, to cię trafi... — kończy myśli o „przeznaczeniu” stary Jantek, grząc się przy piecu i pozierając z wewnętrznym uszanowaniem na żonę, która była bardzo rada, że się dzieci „ze ślubem nie spóźnią”...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/planety-gody/>

Tekst opracowany na podstawie: Władysław Orkan, *Planety*, Biblioteka Domu Polskiego, Warszawa 1927.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).